

KSIĄŻKA AUTORA „ZAKLINACZA”

TRYBUNAŁ DUSZ

DONATO CARRISI



ALBATROS

Godzina 7.37

Trup otworzył oczy.

Leżał na wznak na łóżku. Pokój był pomalowany na biało i oświetlony dziennym światłem. Na wprost niego wisiał na ścianie drewniany krzyż.

Przyjrzał się swoim rękom wyciągniętym wzdłuż boków na czystych prześcieradłach. Wydawało mu się, że nie należą do niego, ale do kogoś innego. Uniósł jedną z nich – prawą – i przytrzymał przed oczami, żeby lepiej jej się przyjrzeć. Wtedy właśnie dotknął lekko bandaży na głowie. Był ranny, ale uświadomił sobie, że nie czuje bólu.

Odwrócił się do okna. Zobaczył słabe odbicie swojej twarzy w szybie. W tym momencie ogarnął go strach. Zadał sobie pytanie, które sprawiło mu przykrość. Ale jeszcze bardziej przykra była świadomość, że nie potrafi na nie odpowiedzieć.

Kim jestem?

PIĘĆ DNI WCZEŚNIEJ

Godzina 0.03

Adres wskazywał, że miejsce znajduje się poza miastem. Z powodu złej pogody i źle działającego GPS-u, który nie pomagał w znalezieniu drogi, dotarcie do tego odosobnionego miejsca zajęło im przeszło pół godziny. Gdyby u wylotu alejki dojazdowej nie paliła się mała latarnia, pomyśleliby, że nikt tu nie mieszka.

Karetka posuwała się powoli przez zaniedbany ogród. Błyskawica wydobyła z mroku pokryte mchem posągi nimf i bogiń z obtłuczonymi rękami. Pozdrowiały ich bezmyślnymi uśmiechami, zastygłe w eleganckich przypadkowych pozach. Płasały tylko dla nich, tkwiąc nieruchomo w miejscu.

Stara willa powitała ich niczym bezpieczna przystań pośród burzy. W środku nie było widać świateł, ale drzwi były otwarte.

Dom czekał na nich.

Było ich troje. Monica, młoda internistka, która tej nocy miała dyżur w pogotowiu ratunkowym. Tony, sanitariusz, mający duże doświadczenie w nagłych interwencjach. Oraz kierowca, który pozostał w karetce, podczas gdy Monica i Tony, nie zważając na burzę, ruszyli w stronę domu. Zanim przekroczyli próg, głośno uprzedzili ewentualnych

mieszkańców o swoim przybyciu.

Nikt im nie odpowiedział. Weszli do środka.

Zapach stęchlizny, mdłe pomarańczowe światło rzędu lamp oświetlających długi korytarz o ciemnych ścianach. Po prawej stronie schody prowadzące na piętro.

W pokoju w głębi ktoś leżał.

Przyspieszyli kroku, żeby udzielić mu pomocy, i znaleźli się w saloniku z meblami przykrytymi białymi pokrowcami. Wyjątkiem był podniszczony fotel stojący na środku, dokładnie naprzeciwko starego telewizora. Prawdę mówiąc, wszystko w tym wnętrzu trąciło starzyzną.

Monica przykłękała obok leżącego na podłodze mężczyzny. Z trudem oddychał. Przywołała Tony'ego niosącego zestaw reanimacyjny.

– Jest siny – zauważyła.

Tony upewnił się, czy drogi oddechowe mężczyzny są drożne, po czym przyłożył mu do ust końcówkę respiratora, podczas gdy Monica sprawdzała latarką jego tęczówki.

Był nieprzytomny, miał najwyżej pięćdziesiąt lat. W piżamie w prążki, skórzanych domowych pantoflach i szlafroku, z kilkudniowym zarostem i mocno przerzedzonymi, potarganymi włosami wyglądał niechlujnie. W jednej ręce ścisnął komórkę, z której zadzwonił na pogotowie, skarżąc się na silne bóle w klatce piersiowej.

Najbliższym szpitalem była poliklinika Gemelli. Lekarz dyżurny stwierdził, że przypadek zasługuje na interwencję w pierwszej kolejności, i połączył się z załogą najbliższej karetki, jaka była do dyspozycji.

Dlatego Monica znalazła się tutaj.

Zobaczyła przewrócony stolik, a obok niego szczątki potłuczonego kubka, rozlane mleko i rozsypane biszkopty, wszystko to zmieszane z moczem. Mężczyzna musiał poczuć

się źle podczas oglądania telewizji i zrobił w spodnie. Klasyczny przypadek, pomyślała Monica. Mieszkający samotnie mężczyzna w średnim wieku dostaje ataku i jeśli nie zdoła wezwać pomocy, zazwyczaj zostaje znaleziony martwy, gdy sąsiedzi zaczynają czuć smród rozkładających się zwłok. Ale w tej stojącej na uboczu willi sprawy potoczyłyby się inaczej. Jeśli nie miał bliskich krewnych, mogły minąć lata, zanim ktoś by zauważył, że coś mu się przydarzyło. W każdym razie Monica miała wrażenie, że widziała już taką scenę, i poczuła współczucie. Przynajmniej dopóki nie rozpięli mu góry od pizamy, żeby zrobić masaż serca. Na piersi miał wytatuowane dwa słowa: „Zabij mnie”.

Lekarka i sanitariusz udali, że tego nie widzą. Ich zadaniem było ratowanie życia. Ale od tej chwili w ich ruchach można było wyczuć pewne skrępowanie.

– Saturacja spada – powiedział Tony, sprawdzwszy dane na mierniku stężenia tlenu. Powietrze nie docierało do płuc mężczyzny.

– Trzeba go zaintubować, bo inaczej koniec z nim. – Monica sięgnęła do torby po laryngoskop i zajęła miejsce za głową pacjenta.

Usunąwszy się, odsłoniła sanitariuszowi widok i zauważyła błysk w jego oczach, zakłopotanie, którego powodów nie rozumiała. Tony był zawodowcem przyzwyczajonym do różnych sytuacji, a mimo to coś go poruszyło. Coś, co znajdowało się dokładnie za jej plecami.

Wszyscy w szpitalu znali historię młodej lekarki i jej siostry. Nikt z nią o tym nie rozmawiał, ale ona widziała współczucie i niepokój w oczach współpracowników, gdy spoglądali na nią, zadając sobie w duchu pytanie, jak można żyć z takim ciężarem.

W tym kłopotliwym momencie na twarzy sanitariusza

pojawił się ten sam wyraz, ale towarzyszyło mu dużo większe przerażenie. Monica odwróciła się więc i zobaczyła to, co zauważył Tony.

W kącie pokoju leżała porzucona łyżworolka, która musiała tu trafić prosto z piekła.

Była czerwona i miała złocone sprzączki. Identyczna z tą, która znajdowała się nie tutaj, ale w innym domu, w innym życiu. Monice te łyżworolki zawsze wydawały się trochę kiczowate, natomiast Teresa twierdziła, że są super. Były bliźniaczkami, więc Monice wydawało się, że ogląda samą siebie, gdy zwłoki jej siostry zostały znalezione na polanie nad rzeką w zimny grudniowy poranek.

Teresa miała zaledwie dwadzieścia jeden lat i ktoś poderżnął jej gardło.

Mówi się, że każdy bliźniak wyczuwa, co się dzieje z tym drugim, nawet z odległości wielu kilometrów. Ale Monica w to nie wierzyła. Nie czuła strachu ani zagrożenia, kiedy porywano Teresę w niedzielne popołudnie, gdy wracała z rolek z koleżankami. Jej ciało znaleziono miesiąc później. Miała na sobie to samo ubranie, w którym zginęła.

I ta czerwona łyżworolka, która wyglądała jak groteskowa proteza na stopie trupa.

Monica przechowywała ją od sześciu lat, zadając sobie pytanie, co się stało z drugą i czy któregoś dnia się spotkają. Ileż to razy wyobrażała sobie twarz człowieka, który porwał Teresę? Ile razy szukała go wśród nieznajomych na ulicy? Z czasem zamieniło się to w coś w rodzaju obsesji.

Być może teraz miała przed sobą odpowiedź.

Spojrzała na mężczyznę leżącego na podłodze. Na jego pulchne dłonie z popękaną skórą, na włoski, które wystawały mu z nosa, na plamę moczu w kroku spodni. Nie przypominał monstrum, jakie zawsze sobie wyobrażała. Był zwykłym

człowiekiem. Pospolita ludzką istotą, która w dodatku miała słabe serce.

Z zamyślenia wyrwał ją głos Tony'ego:

– Wiem, co ci chodzi po głowie. Możemy przerwać, kiedy tylko zechcesz. I zaczekać na to, co nieuchronne... Wystarczy jedno twoje słowo. Nikt się o tym nie dowie.

Być może Tony zaproponował to dlatego, że zauważył jej wahanie, gdy drżącą ręką wkładała laryngoskop do ust z trudem oddychającego mężczyzny. Spojrzała ponownie na jego klatkę piersiową.

„Zabij mnie”.

Być może była to ostatnia rzecz, na którą patrzyły oczy jej siostry, podczas gdy on zarzywał ją jak zwierzę. Żadnego słowa pociechy, jaką powinna otrzymać każda ludzka istota, która na zawsze ma porzucić doczesne życie. Morderca chciał zabawić się kosztem swojej ofiary. I miał dużo uciechy. Być może Teresa błagała o śmierć, byle tylko prędzej się to skończyło. W przyptywie złości Monica zacisnęła dłoń na laryngoskopie, aż zbieleły jej kłykcie.

„Zabij mnie”.

Podlec wytatuował sobie te słowa na piersi, ale kiedy poczuł się źle, zadzwonił po pomoc. Był jak wszyscy. Także bał się śmierci.

Zamyśliła się. Ci, którzy znali Teresę, widzieli w Monice tylko jej duplikat, postać z muzeum figur woskowych, żalostną kopię. Przedstawiała sobą to, czym mogła stać się jej siostra. Przyglądali się, jak dorastała, i szukali w niej Teresy. Teraz Monica miała okazję uwolnić się od zjawy siostry, która w niej mieszkała. Przecież jestem lekarką, pomyślała. Chciała poczuć przebłysk litości dla leżącego przed nią człowieka, lęk przed jakąś wyższą sprawiedliwością lub dostrzec coś, co mogłoby być znakiem. Uświadomiła sobie jednak, że niczego

takiego nie odczuwa. Zaczęła rozpaczliwie szukać w sobie wątpliwości, czegoś, co by ją przekonało, że ten mężczyzna nie ma nic wspólnego ze śmiercią Teresy. Ale jakby na przekór tym rozmyślaniom istniał tylko jeden powód, dla którego ta łyżworolka się tu znalazła.

„Zabij mnie”.

Próbując rozwiązać jakoś ten problem, Monica uświadomiła sobie, że już podjęła decyzję.

Godzina 6.19

Z powodu ulewnego deszczu w Rzymie było ponuro jak na pogrzebie. Na ścianach historycznych budowli i pałaców w centrum pojawiły się długie cienie, sprawiając, że ich fasady przypominały rzędy milczących, zapłakanych twarzy. Zaułki oplatające niczym wnętrzości Piazza Navona były opustoszałe. Ale kilka kroków od klasztoru zaprojektowanego przez Bramantego w mokrej, błyszczącej asfaltowej ulicy odbijały się okna starej Caffè della Pace.

W środku siedzenia obite czerwonym aksamitem, stoliki z szarego żyłkowanego marmuru, neorenesansowe posągi i stali klienci. Artyści, przede wszystkim malarze i muzycy, podenerwowani tym niedokończonym świtem. Ale także rzemieślnicy i antykwariusze szykujący się do otwarcia swoich warsztatów i sklepów przy tej samej ulicy oraz paru aktorów, którzy przed pójściem spać wstąpili na cappuccino po całonocnych próbach w teatrze. Wszyscy chcieli tu znaleźć odrobinę pociechy w ten niemiły ranek, a także pogadać z przyjaciółmi. Nikt nie zwracał uwagi na dwóch obcych w ciemnych ubraniach, którzy siedzieli przy stoliku naprzeciwko wejścia.

– Jak tam twoje migreny? – zapytał ten, który wyglądał na młodszego.

Jego towarzysz przestał zbierać opuszką palca drobiny cukru rozsypane wokół pustej filiżanki i odruchowo przesunął ręką po szramie na lewej skroni.

– Czasami nie dają mi spać, ale powiedziałbym, że czuję się lepiej.

– Miewasz jeszcze ten sen?

– Co noc – odparł mężczyzna, podnosząc na rozmówcę ciemnoniebieskie melancholijne oczy.

– Przejdzie ci.

– Tak, przejdzie.

Ciszę, która zapadła po tej wymianie słów, przerwał przeciągły syk pary wydobywającej się z ekspresu do kawy.

– Marcusie, nadszedł już czas – powiedział ten młodszy.

– Jeszcze nie jestem gotowy.

– Nie można dłużej czekać. Góra wypytuje mnie o ciebie, chcieliby wiedzieć, na jakim jesteś etapie.

– Robię postępy, prawda?

– Tak, owszem, z każdym dniem jesteś coraz sprawniejszy i to mnie uspokaja, możesz mi wierzyć. Ale oni bardzo na ciebie liczą. Od ciebie zależy wiele rzeczy.

– Kto tak się mną interesuje? Chciałbym się z nimi spotkać i porozmawiać. Znam tylko ciebie, Clemente.

– Rozmawialiśmy już o tym. To niemożliwe.

– Dlaczego?

– Ponieważ zawsze odbywa się to w ten sposób.

Marcus znowu dotknął blizny, jak to robił za każdym razem, gdy był niespokojny.

Clemente pochylił się ku niemu, zmuszając go do podniesienia wzroku.

– To dla twojego bezpieczeństwa.

- Chciałeś powiedzieć: dla ich bezpieczeństwa.
- Także, jeżeli chcesz ująć to w ten sposób.
- Mógłbym narobić kłopotów, a do tego nie wolno dopuścić, prawda?

Sarkastyczny ton Marcusa nie poirytował Clemente.

- Na czym polega twój problem?
- Ja nie istnieję. – W jego głosie słysząc było ból.
- Dzięki temu, że tylko ja znam rysy twojej twarzy, możesz czuć się wolny. Nie rozumiesz tego? Oni znają cię tylko z imienia, a co do całej reszty zdają się na mnie. Masz więc nieograniczone możliwości. Skoro nie wiedzą, kim jesteś, nie mogą ci w niczym przeszkodzić.

– Jak to możliwe? – spytał z przejęciem Marcus.

– Ponieważ zwierzyzna, na którą polujemy, mogłaby zdeprawować także ich. Gdyby miały zawieść wszystkie pozostałe środki, gdyby granice okazały się nieskuteczne, pozostałby jeszcze ktoś, kto by nad nimi czuwał. Ty jesteś ich ostatnim strażnikiem.

W spojrzeniu Marcusa pojawił się wyzywający błysk.

– Wyjaśnij mi coś... Czy są inni tacy jak ja?

Clemente zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

- Nie wiem. Nie mam jak się tego dowiedzieć.
- Powinieneś być zostawić mnie w tym szpitalu...
- Nie wolno ci tak mówić, Marcusie. Nie sprawiaj mi zawodu.

Marcus wyjrzał na ulicę, obrzucając wzrokiem nielicznych przechodniów, którzy skorzystali z chwilowej przerwy w ulewie i opuścili przypadkowe schronienia, żeby ruszyć w dalszą drogę. Miał jeszcze wiele pytań do Clemente. O sprawy, które odnosiły się bezpośrednio do niego, a o których zapomniał. Człowiek siedzący naprzeciwko był dla niego jedynym łącznikiem ze światem. A raczej był całym jego

światem. Marcus nie rozmawiał z nikim innym, nie miał przyjaciół. Dowiadywał się jednak o rzeczach, o których wolałby nie wiedzieć. O ludziach i o złu, jakie potrafili wyrządzać. To były rzeczy tak straszliwe, że mogły zachwiać ufność każdego, na zawsze zatruć każde serce. Przyglądał się otaczającym go osobom, które żyły nieprzytłoczone takim ciężarem, i zazdrościł im. Clemente go uratował, ale jego ocaleniu towarzyszyło wejście do świata mroku.

– Dlaczego wybrali właśnie mnie? – spytał.

Clemente się uśmiechnął.

– Psy nie rozróżniają kolorów. – Był to zwrot, po który zawsze sięgał w podobnych sytuacjach. – A więc zostajesz?

Marcus odwrócił się do swojego jedyne go przyjaciela.

– Tak, zostaję.

Clemente bez słowa sięgnął do kieszeni płaszcza wiszącego na oparciu krzesła, wyjął z niej papierową kopertę, położył ją na stoliku i popchnął w stronę Marcusa. Ten wziął ją do ręki i otworzył, zachowując ostrożność, która znamionowała wszystkie jego ruchy.

W środku znajdowały się trzy zdjęcia.

Pierwsze z nich przedstawiało grupkę młodych ludzi bawiących się na plaży – na pierwszym planie widać było dwie dziewczyny w kostiumach kąpielowych, które stały przed ogniskiem, wznosząc toast butelkami piwa. Do drugiego pozowała tylko jedna z nich, miała włosy związane w kucyk i okulary korekcyjne, uśmiechała się, wskazując widoczny za jej plecami Pałac Kultury Włoskiej, wzór neoklasycyzmu z dzielnicy EUR. Na trzecim zdjęciu ta sama dziewczyna obejmowała mężczyznę i kobietę, przypuszczalnie rodziców.

– Kto to jest? – spytał Marcus.

– Ma na imię Lara. Dwadzieścia trzy lata. Studiuje w Rzymie, ale przyjechała tu z daleka. Wydział architektury,

czwarty rok.

– Co jej się stało?

– To jest właśnie problem: nie wiadomo. Zaginęła miesiąc temu.

Marcus skupił wzrok na twarzy Lary, zapominając o zgiełku i wszystkim, co go otaczało. Wyglądała jak typowa dziewczyna z prowincji przeniesiona do wielkiego miasta. Bardzo ładna, o delikatnych rysach twarzy, bez makijażu. Pomyślał, że pewnie zwykle nosi koński ogon, ponieważ nie może sobie pozwolić na fryzjera. Być może zaglądała do niego tylko wtedy, gdy wracała do rodziców, żeby zaoszczędzić. Sposób, w jaki się ubierała, można było nazwać kompromisowym – nosiła dzinsy i koszulkę z krótkimi rękawami, co uniezależniało ją od mody. Na jej twarzy widać było ślady nocy spędzonych nad książkami lub może kolacji składających się z małej puszki tuńczyka, ostatniej deski ratunku studentów mieszkających poza domem, gdy wyczerpią już miesięczny budżet i czekają na wsparcie od mamy i taty. Po raz pierwszy daleko od domu. Prowadząca codzienną walkę z tęsknotą za bliskimi, poskramaną marzeniami o tym, by zostać architektem.

– Opowiedz mi o niej.

Clemente sięgnął do kieszeni po notes, odsunął filiżankę z kawą i zaczął przeglądać zapiski.

– W dniu zaginięcia Lara spędziła część wieczoru z paroma przyjaciółmi w pewnym lokalu. Zeznali, że wydawała się spokojna. Rozmawiali o zwykłych rzeczach, a potem, koło dziewiątej, powiedziała, że jest zmęczona, chce wrócić do domu i się położyć. Dwoje z nich, para narzeczonych, podwoziło ją autem i zaczekało, aż wejdzie do bramy.

– Gdzie mieszka?

– W starej kamienicy w centrum.

– A inni lokatorzy?

– Około dwudziestu. Budynek należy do uniwersytetu, który wynajmuje mieszkania studentom. Mieszkanie Lary znajduje się na parterze. Do sierpnia mieszkała w nim razem z koleżanką, która jednak się wyprowadziła, więc ostatnio rozglądała się za inną współlokatorką.

– Dokąd sięgają ślady, jakimi dysponujemy?

– Obecność Lary w domu w następnych godzinach potwierdzają strefowe przekaźniki telefoniczne, które zarejestrowały dwie rozmowy wychodzące z jej komórki: jedną o dziesiątej dwadzieścia siedem, drugą o dziesiątej dwanaście. Najpierw zadzwoniła do matki i rozmawiała dziesięć minut, a potem do najbliższej przyjaciółki. O dziesiątej dziewiętnaście wyłączyła telefon i już go nie uruchomiła.

Do stolika podeszła młoda kelnerka, żeby zabrać filiżanki. Przez chwilę ociągała się z odejściem, chcąc dać im sposobność złożenia nowego zamówienia, ale żaden tego nie zrobił. Ograniczyli się do milczenia, dopóki się nie oddaliła.

– Kiedy złożono zawiadomienie o zaginięciu? – spytał Marcus.

– Następnego wieczoru. Nie widząc jej na wydziale, koleżanki dzwoniły do niej przez cały dzień, ale za każdym razem włączała się automatyczna sekretarka. Koło dwudziestej zapukały do jej mieszkania, ale nie odpowiedziała.

– Co o tym myśli policja?

– W dniu poprzedzającym zniknięcie Lara podjęła z konta czterysta euro, żeby zapłacić za wynajem mieszkania, lecz administrator nie dostał pieniędzy. Zdaniem matki z szafy zniknęło trochę ubrań i plecak. Nie ma też śladu po jej komórce. Dlatego policja zakłada, że oddaliła się z własnej woli.

– Powiedziałbym, że to bardzo wygodne.

– Nie wiesz, jak to jest z takimi sprawami? Jeśli nie pojawi

się przesłanka, która każe obawiać się najgorszego, w krótkim czasie zaprzestają poszukiwań. I czekają.

Być może na to, że gdzieś znajdują się zwłoki, pomyślał Marcus.

– Dziewczyna prowadziła uregulowany tryb życia, większość czasu spędzała na uniwersytecie, stale obracała się w tym samym kręgu znajomych – ciągnął Clemente.

– A co myślą jej koledzy i koleżanki?

– Że Lara nie była dziewczyną, której nagle mogło coś strzelić do głowy. Chociaż ostatnio trochę się zmieniła, wydawała się zmęczona i roztargniona.

– Żadnego amanta, żadnych flirtów?

– Z wykazów połączeń nie wynika, żeby dzwoniła do kogoś nieznanego, nikt nie mówił też o narzeczonym.

– Może przez internet?

– Łączyła się z biblioteki swojego wydziału albo z kawiarenki internetowej w pobliżu dworca. Żadnego podejrzanego e-maila w jej poczcie.

W tym momencie szklane drzwi kawiarni otworzyły się i wszedł klient. Przez salę przeleciał powiew wiatru. Wszyscy obejrzeni się zirytowani – z wyjątkiem Marcusa, który zatopił się w myślach.

– Lara wraca do domu, jak każdego wieczoru – odezwał się po chwili. – Jest zmęczona, od jakiegoś czasu zdarza się to często. Jej ostatni kontakt ze światem ma miejsce o dziesiątej dziewiętnaście, kiedy to wyłącza telefon, który potem znika wraz z nią i nie zostaje już włączony. Nie wiemy nic więcej o tym, co się wydarzyło od tamtej chwili. Brakuje ubrań, pieniędzy i plecaka, dlatego policja zakłada samowolne oddalenie się... Wyszła z domu i zniknęła. Być może sama, a może z kimś. Nikt jej nie widział. – Marcus wbił wzrok w Clemente. – Co każe nam przypuszczać, że przydarzyło jej się

coś złego? Słowem, dlaczego mamy się tym zająć?

Wzrok Clemente mówił sam za siebie. Dotarli do kluczowego punktu sprawy. Do anomalii, bo w gruncie rzeczy szukali właśnie tego. Drobnych odstępstw od normalności. Małych zacięć w logicznym ciągu policyjnego śledztwa. Te nieznaczne deformacje stanowiły często furtkę do jakiejś innej, niewyobrażalnej prawdy. Ich zadanie rozpoczynało się właśnie tu.

– Lara w ogóle nie wyszła z domu, Marcusie. Drzwi do jej mieszkania były zamknięte od wewnątrz.

• • •

Clemente i Marcus udali się na miejsce. Kamienica stała przy via dei Coronari, dwa kroki od Piazza di San Salvatore in Lauro z maleńkim kościółkiem z XVI wieku. Potrzebowali tylko paru sekund, by wejść do mieszkania na parterze. Nikt ich nie zauważył.

Znalazłszy się w środku, Marcus zaczął się rozglądać. Najpierw zauważył wyrwany łańcuch. Aby wejść do mieszkania, policja musiała wyważyć drzwi i funkcjonariusze nie dostrzegli małego szczegółu – łańcucha założonego od wewnątrz, który został wyrwany i teraz zwisał z futryny.

Mieszkanie miało najwyższej sześćdziesiąt metrów kwadratowych i było podzielone na dwa poziomy. Ten niższy obejmował salonik z aneksem kuchennym. Przy ścianie stał kredens z blatem i kuchenką elektryczną, nad nią wisały półki. Obok niego znajdowała się lodówka usiana kolorowymi magnesami, na której stał wazon z pęczkiem zasuszonych fiołków. Był też stół z czterema krzesłami, a na jego środku taca z filiżankami i dzbankiem do herbaty. W rogu przed telewizorem stały dwie kanapy. Na pomalowanych na zielono ścianach wisały nie obrazki czy plakaty, ale plany słynnych

budowli rozsianych po świecie. Było zabezpieczone żelazną kratą okno, które – podobnie jak wszystkie inne w mieszkaniu – wychodziło na wewnętrzne podwórze. Nikt nie mógł przez nie wejść ani wyjść.

Marcus rejestrował wzrokiem wszystkie szczegóły. Nie mówiąc ani słowa, zrobił znak krzyża, natychmiast powtórzony przez Clemente. A potem zaczął kręcić się po wnętrzu. Nie ograniczał się jednak do patrzenia. Dotykał różnych rzeczy, muskając je lekko, jakby szukał w nich resztek energii czy sygnału radiowego. Wyglądało na to, że są w stanie coś mu zakomunikować, odkrywając przed nim to, co wiedziały i widziały. Niczym różdżkarz, nasłuchujący głosów wodonośnej warstwy ukrytej pod ziemią, Marcus sondował głębokie milczenie martwych przedmiotów.

Clemente przyglądał się swojemu uczniowi, stojąc z boku, żeby go nie rozpraszać. Nie dostrzegwał u niego żadnego wahania, Marcus wydawał się naładowany energią i skupiony. Była to ważna próba dla nich obu. Marcus miał udowodnić samemu sobie, że może podjąć się nowego zadania, do którego wykonania został przeszkolony. Clemente chciał uzyskać potwierdzenie, że się nie pomylił co do jego poszukiwawczych zdolności.

Zobaczył, że Marcus rusza w głąb mieszkania, w kierunku drzwi, za którymi kryła się mała łazienka wyłożona białymi kafelkami i oświetlona neonową lampą. Prysznic znajdował się między umywalką i sedesem. Były też pralka oraz szafka na szczotki i środki czystości. Na tylnej stronie drzwi wisiał kalendarz.

Marcus wrócił i skierował się ku lewej stronie saloniku, gdzie były schody prowadzące na półpiętro. Przeskakując po trzy stopnie naraz, ruszył na górę i znalazł się na ciasnym podeście, przed drzwiami do dwóch sypialni.

Pierwsza z nich czekała na nową lokatorkę. Były w niej tylko nieprzykryty niczym materac, fotel i komódka.

Druga była sypialnią Lary.

Żaluzje w oknie podniesiono. W kącie stał stolik z komputerem, były też półki pełne książek. Marcus podszedł bliżej i przeciągnął palcami po grzbietach książek poświęconych architekturze. Następnie musnął teczkę z niedokończonym projektem mostu. Wziął w palce jeden z ołówków tkwiących w szklance i powąchał go, po czym zrobił to samo z gumką do wycierania, odczuwając sekretną przyjemność, jakiej mogą dostarczyć tylko artykuły biurowe.

Te zapachy należały do świata Lary. Było to miejsce, w którym czuła się szczęśliwa. Jej małe królestwo.

Otworzył szafę i przesunął ubrania wiszące na wieszakach, z których kilka było wolnych. Na dolnej półce stały trzy pary butów: dwie pary sportowych i jedna – wieczorowe pantofle – na specjalne okazje. Ale było też miejsce na czwartą parę, której brakowało.

Łóżko było trochę szersze od pojedynczego. Spomiędzy poduszek wystawał pluszowy miś. Musiał być świadkiem życia Lary od czasów, gdy była dzieckiem, a teraz został sam.

Na szafce nocnej stały oprawiona fotografia Lary z rodzicami oraz metalowa szkatułka, a w niej pierścionek z małym szafirem, bransoletka z koralu i trochę innej biżuterii. Marcus przyjrzał się zdjęciu. Rozpoznał je – było wśród tych, które Clemente pokazał mu w Caffè della Pace. Lara miała na szyi złoty łańcuszek z krzyżykiem, ale w szkatułce z biżuterią go nie znalazł.

Clemente czekał na niego u stóp schodów i niebawem zobaczył, że Marcus schodzi.

– I co?

Marcus się zatrzymał.

– Mogła zostać uprowadzona. – W tej samej chwili, w której wypowiedział te słowa, nabrał co do tego pewności.

– Co masz na potwierdzenie?

– Za dużo porządku. Jakby brakujące ubrania i komórka, której nigdzie nie ma, były tylko inscenizacją. Ale temu, kto to zorganizował, umknął szczegół w postaci łańcucha, który zamykał drzwi od środka.

– W takim razie jak zdołał... – zaczął Clemente.

– Dojdziemy i do tego – przerwał mu Marcus, po czym ruszył do saloniku, starając się skupić na tym, co tu się wydarzyło. Jego umysł pracował z zawrotną szybkością. Fragmenty mozaiki zaczęły układać się przed jego oczami w obrazek: Lara miała gościa.

Clemente zdawał sobie sprawę, co się dzieje. Marcus zaczynał identyfikować się z tajemniczym nieznajomym. Na tym polegał jego talent.

Zobaczyć to, co widział intruz.

– Przyszedł tu, kiedy Lary nie było. Usiadł na jej kanapie, wypróbował miękkość łóżka, pogrzebał w jej rzeczach. Obejrzał zdjęcia, przywłaszczył sobie jej wspomnienia. Dotknął szczoteczki do zębów, obwąchał ubrania w poszukiwaniu zapachu Lary. Pił ze szklanki, którą zostawiła w zlewozmywaku, żeby ją później umyć.

– Nie nadążam za tobą...

– Poruszał się pewnie. Wiedział o Larze wszystko, znał rozkład jej dnia, przyzwyczajenia.

– A jednak nie ma tu nic, co pozwoliłoby myśleć o uprowadzeniu. Ani śladu kłótni, nikt w kamienicy nie słyszał krzyków czy wołania o pomoc. Jak to wytłumaczysz?

– Uprowadził ją, gdy spała.

Clemente zamierzał coś powiedzieć, ale Marcus go uprzedził:

– Pomóż mi znaleźć cukier.

Mimo iż Clemente nie rozumiał dokładnie, co Marcusowi chodzi po głowie, postanowił mu pomóc. W szafce wiszącej nad kuchenką znalazł pojemnik z napisem SUGAR, podczas gdy Marcus sprawdzał cukierniczkę stojącą na środku stołu, obok filiżanek.

I cukierniczka, i pojemnik były puste.

Dwaj mężczyźni spoglądali na siebie przez dłuższą chwilę, wymieniając pozytywną energię. Brak cukru nie był przypadkowy. Marcus nie strzelał na chybił trafił. Miał przecucie, które mogło potwierdzić wszystko.

– W cukrze najlepiej można podać narkotyk. Cukier maskuje jego smak i daje pewność, że ofiara przyjmie go w naturalny sposób.

– A Lara ostatnio ciągle była zmęczona, mówili o tym jej koledzy. – Clemente poczuł nagły przypływ nadziei. Ten szczegół zmieniał wszystko. Ale na razie nie mógł powiedzieć o tym Marcusowi.

– Działo się to stopniowo, nie było pośpiechu – ciągnął Marcus. – I to dowodzi, że ktoś, kto ją uprowadził, był tu wcześniej, nie tylko tej nocy. Zabierając ubrania i komórkę, zadbał, żeby zniknął również cukier, który zawierał narkotyk.

– Ale zapomniał o łańcuchu przy drzwiach – dodał Clemente. Ten szczegół przekreślał wszystkie teorie. – Którędy wszedł, a przede wszystkim którą oboje wyszli?

Marcus znów rozejrzał się po mieszkaniu.

– Gdzie jesteśmy? – Rzym to największe zamieszkane miejsce wykopalisk archeologicznych na świecie. Miasto rozwijało się warstwami, wystarczyło wkopać się na parę metrów w ziemię, aby natknąć się na ślady poprzednich epok i cywilizacji. Marcus dobrze wiedział, że także w tym, co znajdowało się na powierzchni, życie rozwarstwiło się

z biegiem czasu. Każde miejsce kryło wiele historycznych śladów i mogło służyć więcej niż jednemu celowi. – Co to za miejsce? Nie mam na myśli obecnej chwili, ale tak w ogóle. Mówiłeś, że kamienica pochodzi z osiemnastego wieku.

– Była jednym z mieszkań markizów Costaldich.

– Tak. Arystokraci zajmowali wyższe piętra, natomiast tu były podwórzowe warsztaty, magazyny i stajnie. – Marcus dotknął szramy na lewej skroni. Nie mógł dociec, skąd pochodzi to wspomnienie. Jak się o tym dowiedział? Z jego pamięci znikło wiele informacji, inne wracały nieoczekiwanie, przynosząc także niemiłe pytanie: skąd się wzięły? W jego umyśle było miejsce, w którym tkwiły pewne rzeczy, ale pozostawały ukryte. Co jakiś czas wypływały na powierzchnię, przypominając mu o istnieniu tego mglistego zakątka i o tym, że nigdy do niego nie dotrze.

– Masz rację – przytaknął Clemente. – Kamienica pozostawała w tym stanie przez długi czas. Uniwersytet przejął ją za sprawą zapisu około dziesięciu lat temu i urządzono w niej mieszkania dla studentów.

Marcus pochylił się nad podłogą. Parkiet zrobiono z litego, nieobrobionego drewna. Deski były wąskie. Nie, nie tutaj, powiedział sobie w duchu. Nie zniechęcając się, ruszył do łazienki; Clemente poszedł za nim.

Marcus sięgnął po jedno z wiaderek schowanych w szafce na szczotki, postawił je pod prysznicem i napełnił do połowy wodą, następnie cofnął się o krok. Stojący za jego plecami Clemente nie domyślał się jeszcze, o co mu chodzi.

Marcus przechylił wiadro, wylewając wodę na podłogę z płytek. Kałuża powiększyła się pod ich stopami. Przyglądali się jej w napięciu.

Po kilku sekundach woda zaczęła zniknąć.

Wydawało się, że to jakaś sztuczka, dokładnie taka sama,

jak z dziewczyną, która znika z mieszkania zamkniętego od wewnątrz. Tyle że tym razem istniało wytłumaczenie.

Woda przesączała się do podziemi.

Między płytkami zaczęły się tworzyć pęcherzyki powietrza, które ułożyły się w końcu w kształt kwadratu. Jego boki miały około metra długości.

Marcus na czworakach przejechał czubkami palców po płytkach, starając się znaleźć szczelinę. Wydawało mu się, że ją wyczuł. Wstał, żeby rozejrzeć się za czymś, czym mógłby podważyć płytkę. Sięgnął na półkę po małe metalowe nożyczki. Wystarczyły, żeby unieść kwadrat z kafelków. Włożył w szparę palce i pociągnął, unosząc kamienną klapę.

– Zaczekaj, pomogę ci – powiedział Clemente.

Odsunęli ją na bok i odsłonili stare schodki z trawertynu, które prowadziły do podziemnego korytarza.

– Porywacz skorzystał z tego przejścia – uznał Marcus. – Zrobił to co najmniej dwa razy, kiedy wszedł, a potem wyszedł z Larą. – Wyjął małą latarkę, którą zawsze nosił przy sobie, zapalił ją i oświetlił otwór.

– Chcesz zejść na dół? – spytał Clemente.

Marcus odwrócił się do niego.

– A czy mam wybór?

• • •

Trzymając latarkę, Marcus zszedł po kamiennych schodkach. Dotarwszy na dół, uświadomił sobie, że znajduje się w tunelu, który biegnie pod domem. Nie wiadomo było, dokąd prowadzi.

– Wszystko dobrze? – spytał go Clemente, który został na górze.

– Tak – odparł krótko Marcus. Prawdopodobnie w osiemnastym wieku tunel służył jako droga ucieczki w

razie zagrożenia. Pozostało mu tylko zaryzykować wyprawę w jednym lub drugim kierunku. Wybrał ten, z którego dochodził głuchy szum ulewnego deszczu. Przeszedł co najmniej pięćdziesiąt metrów, choć kilka razy poślizgnął się na mulistym podłożu. Koło jego kostek przebiegło kilka szczurów, muskając go ciepłymi i gładkimi korpusami, po czym umknęły do swoich mrocznych kryjówek. Rozpoznał szum Tybru wezbranego po ulewnych deszczach oraz słodkawym zapachu rzeki, podobny do zapachu zwierzęcia, które brało udział w szybkim wyścigu. Poszedł za wonią i wkrótce zobaczył masywną kratę, przez którą przeświecało szare światło dnia. Tędy nie można było przejść. Zawrócił więc, żeby spróbować w przeciwnym kierunku. Gdy tylko zaczął iść, zobaczył coś błyszczącego w mule pokrywającym dno.

Schylił się i podniósł złoty łańcuszek z krzyżykiem.

Przypomniał sobie, że widział go na szyi Lary na zdjęciu z rodzicami, które stało na szafce nocnej. Miał potwierdzenie, że jego domysły są słuszne.

Clemente się nie mylił – na tym właśnie polegał talent Marcusa.

Ten, podniecony odkryciem, nie zauważył przyjaciela, który tymczasem również zszedł na dół. Zdał sobie sprawę z jego obecności dopiero wtedy, gdy tamten stanął obok niego.

Marcus pokazał mu łańcuszek.

– Popatrz...

Clemente wziął go do ręki i przyjrzał mu się.

– Być może dziewczyna jeszcze żyje – powiedział Marcus, podbudowany tym odkryciem. – Mamy trop, możemy się dowiedzieć, kto ją porwał. – Zauważył jednak, że przyjaciel nie podziela jego optymizmu. Przeciwnie, wydawał się zakłopotany.